

Miejsce nauki i psychologii w kulturze zdominowanej ideologią wolnego rynku

Krzysztof Mudyń

Instytut Psychologii Stosowanej, Uniwersytet Jagielloński

Autor zastanawia się nad umiejscowieniem nauki w systemowo rozumianej rzeczywistości oraz rolą nauki w kulturze rządzonej regułami wolnego rynku. Porównując ewolucję kultury do pędzącego pociągu, sugeruje, że jej wpływ na kierunek ewolucji kultury jest znikomy – nauka nie jest bowiem ani lokomotywą, ani motorniczym pociągu. Jej przedstawiciele są pasażerami czwartego wagonu. Ich praktyczna rola sprowadza się głównie do analizowania i komentowania bieżących wydarzeń oraz uczestniczenia w minimalizowaniu skutków katastrof, kiedy te już wystąpią. Autor uzasadnia też, że akademicka wiedza psychologiczna kieruje się innymi celami niż psychologia stosowana lub potoczna. Ponadto, z konieczności, ma ona charakter deklaratywny i w niewielkim tylko stopniu jest przekładalna na praktyczne umiejętności wprowadzania zmian, czyli na wiedzę proceduralną. Istnieje wiele psychologii – każda z nich poszukuje i gromadzi inny rodzaj wiedzy (i umiejętności), stosownie do realizowanych celów. Nie należy zatem oczekiwać, że wiedza praktyczna (także zasługująca na miano profesjonalnej) musi być czymś pochodnym w stosunku do wiedzy naukowej. Nie należy lekceważyć wiedzy i umiejętności powstających poza obszarem zainteresowań i metod psychologii akademickiej. Jeśli praktyków nazwiemy szamanami, to zgodnie z tą retoryką teoretycy byłiby kaznodziejami, a empirycznie nastawieni eksperymentatorzy – majsterkowiczami.

Słowa kluczowe: miejsce nauki w gospodarce wolnorynkowej, nauka czysta vs nauka w służbie potrzeb i problemów społecznych, wielość psychologii, szamani, kaznodzieje i majsterkowicze

To dobrze, że redakcja *Psychologii Społecznej* zdecydowała się udostępnić specjalny numer dla problemów zawartych – *explicite* bądź *implicite* – w artykule T. Witkowskiego i P. Fortuny „O psychobiznesie, tolerancji i odpowiedzialności, czyli strategii czystych uczonych”, będącym niejako dalszym ciągiem wcześniejszej prowokacji na łamach *Charakterów* (Aulagnier, 2007). Stwarza to bowiem niezastąpioną okazję do ogólniejszych refleksji na tematy różne, acz istotne. Można, między innymi, zastanowić się nad zasadniczym pytaniem, dokąd pędzi ten pociąg, w którym różni ludzie, z psychologami włącznie, próbują znaleźć jak najwygodniejsze miejsce lub choćby na niego zdążyć.

Otwiera to przestrzeń do dyskusji, przynajmniej akademickiej. A czas jest ku temu sposobny, gdyż trudno nie zauważyć, że uczestniczymy w ogólnoświatowym kryzysie ekonomicznym, który przekłada się nie tylko na finan-

se poszczególnych obywateli, lecz również na wszelkie inne aspekty rzeczywistości społecznej. Ważne jest i to, że każdy kryzys stanowi niezastąpioną okazję do zrewidowania wielu milczących założeń, niekwestionowanych przekonań i „oczywistych oczywistości”. Dotyczy to także przekonania, iż wolny rynek jest najlepszym i uniwersalnym sposobem (samo)regulacji wszelakich procesów społecznych oraz że we współczesnej „globalnej wiosce” rzeczywiście coś takiego istnieje, i to w analogicznej postaci jak za czasów Adama Smitha lub na bazarze Stadionu Dziesięciolecia¹.

Wiedza akademicka a lokalizacja nauki w systemowej rzeczywistości

Zgadzam się z Autorami tekstu w kwestii – jak sądzę – najogólniejszej, a mianowicie, że obojętność czy *desinteressement* wobec wszystkiego, co wykracza poza osobisty interes, najczęściej doraźnie lub krótkowzrocznie rozumiany, nie jest pożądaną reakcją wobec wszelakich zjawisk społecznych, które uważamy (słusznie lub nie)

Krzysztof Mudyń, Instytut Psychologii Stosowanej, Uniwersytet Jagielloński, ul. Łojasiewicza 4, 30-348 Kraków,
e-mail: krzysztof.mudyn@uj.edu.pl

za niewłaściwe lub wręcz szkodliwe. Dotyczy to również tzw. psychobiznesu. Bardziej jednak interesują mnie kwestie natury ogólniejszej, między innymi rola nauki lub raczej nauk różnych we współczesnym świecie oraz w kształtowaniu i ocenianiu (ewaluacji) praktyki w ogóle oraz praktyki psychologicznej w szczególności. I na tym wątku skupię się w pierwszej kolejności. Nie podzielałm bowiem, kiedyś mocno zakorzenionego w świadomości społecznej przekonania, iż nauka dostarcza wiedzy pewnej i sprawdzonej, które to przekonanie wydaje się być bliskie Autorom tekstu.

Nauka, w tym także psychologia akademicka, stara się niewątpliwie dostarczać wiedzy sprawdzonej, lecz z konieczności dostarcza raczej wiedzy hipotetycznej i wciąż sprawdzanej. Co więcej, jeśli idzie o psychologię i tzw. nauki społeczne, to z natury rzeczy tylko po części mamy (i mieć możemy) do czynienia z *science*, a po części z *art and humanities*. Nauką (na wzór nauk o naturze, zwanych kiedyś *Naturwissenschaften* w odróżnieniu od *Geisteswissenschaften*) usilnie stara się być psychologia akademicka, przynajmniej w swym dominującym nurcie. Psychologia stosowana natomiast, czy to w sensie psychoterapii, czy tzw. pomocy psychologicznej, programów profilaktycznych, treningów rozwoju osobistego (kierowania grupą, zarządzania przedsiębiorstwem), poradnictwa lub coachingu, z samej natury rzeczywistości nauką być nie może. Natomiast sztuką (*ars, art*) być musi, gdyż wynika to z konkretnej (zindywidualizowanej) natury problemów, z jakimi się bezpośrednio konfrontuje (w sensie konkretnych osób, grup, sytuacji i kontekstów).

Czasami sztuka staje się kiczem. Ideologia wolnego rynku ma zresztą liberalny stosunek do wszelkiego rodzaju kiczowatości. Począwszy od mass mediów i jej Big Brotherów, przez Big Burgery, wszelakiego autorkamentu suplementy diety, którymi po brzegi wypełnione są apteki (zamiast aneksów sklepów spożywczych), aż po lawinowo powstające szkoły wyższe i półwyższe (chętnie nauczające psychologii), pomyślane zazwyczaj *ad usum delfini*, acz zaprawione w sztuce *pecunia quaerendi*. Psychobiznes, w dość wąskim zresztą rozumieniu Autorów, jest tylko jednym z wielu grzybków w tym współczesnym barszczu.

Paul Feyerabend – jeden z najbardziej niezależnych przedstawicieli filozofii nauki – zgadzając się poniekąd z autorem „Struktury rewolucji naukowych” (Kuhn, 1968), powiada, że nauka chętnie rozwiązuje łamigłówki, które sama wymyśla (Feyerabend, 1970). Innymi słowy, jak długo może, pielęgnuje swoje paradygmaty, dokarmiając je nowymi hipotezami i kontrowersjami oraz nowymi danymi empirycznymi, produkowanymi najchętniej w sterylnych warunkach eksperymentu laboratoryj-

nego. A czyni tak przynajmniej w okresach stabilności, czyli w fazie tzw. nauki normalnej pomiędzy kolejnymi rewolucjami w rozumieniu Thomasa Kuhna.

Idąc nieco dalej, można by powiedzieć, że celem nauki jako instytucji, podobnie jak każdego żywego systemu, jest przede wszystkim odnawianie i powielanie swoich struktur, czyli dążenie do przetrwania dzięki adaptacji do otoczenia, przy minimalizacji kosztów własnych, mierzonej liczbą koniecznych zmian. Jeśli przetrwanie nie jest zagrożone, mogą pojawić się tendencje rozwojowe lub przynajmniej ekspansja w sensie ilościowym. Rozwój bowiem (zwłaszcza zrównoważony) zwiększa szanse przetrwania.

Czasem na obrzeżach (*sic*) dotychczasowej „normalnej nauki”, w rozumieniu Kuhna, pojawia się jakaś nowa, bardziej całościowa, oryginalna koncepcja, która jeśli przetrwa fazę przemilczania, pomniejszania, świętego oburzenia i krytyki ze strony przedstawicieli *status quo* oraz – co ważne – zaproponuje zgrabny paradygmat produkowania nowych faktów, z czasem może się stać (przez czas jakiś) obowiązującym kanonem uprawiania danej dyscypliny, zwłaszcza w kontekście prac naukowych pisanych na stopień.

Ale – mógłby ktoś zapytać – czyż nauka nie spełnia ważnych funkcji zewnętrznych, społecznie użytecznych wobec kultury, technologii i społeczeństwa? Owszem, tak. Ale nie tyle wobec społeczeństwa w ogólności lub jego poszczególnych członków, ile raczej wobec swych mecenasów, zleceniodawców i sponsorów. W totalitarnych systemach społecznych nauki społeczne chętnie bywają wykorzystywane do legitymizacji ideologii służącej władzy oraz uzasadniania decyzji już podjętych przez decydentów. Gdy trzeba, pełni też funkcję autorytetu, pomocnego w sprawowaniu rządu dusz. Natomiast w ramach gospodarki rynkowej jej przedstawiciele wzbogacają ofertę mass mediów, szczególnie jeśli są medialni, a ich prywatne poglądy korespondują z inklinacjami zapraszających ich dziennikarzy i gustami szerszej publiczności. A jeśli trzeba, swoją wirtualną obecnością legitymizują także „naukowy” charakter *Charakterów*.

Nauka przyczynia się oczywiście do rozwoju nowych technologii, które – zdaniem wielu wierzących w ideologię rozpowszechnianą przez producentów i sprzedawców – przekładają się automatycznie na lepszą jakość życia obywateli. Przekonanie to w dużym stopniu opiera się na próbie rozumowania: gdyby (w już radykalnie zmienionym przez technologię środowisku) pozbawić mnie dobrodziejstw techniki (np. poczynając od dostępu do internetu, telefonu, etc.), niechybnie stałbym się bezradny jak dziecko we mgle i zapewne niezbyt z tego powodu szczęśliwy. Konkluzja, którą wielu wyprowadza z tej ku-

lawej przesłanki, brzmi – technologia bezpośrednio i jednoznacznie przekłada się na (lepszą) jakość życia. Na tej samej zasadzie niektórzy moi wykształceni znajomi uważają, że banki i inne instytucje finansowe są dobroczyńcami ludzkości, bo gdyby je nagle pozamykać, to któż udzieliłby nam kredytu? Kto troszczyłby się o nasze konta? A idąc dalej – gdyby tak któregoś dnia banki zablokowały konta oraz bankomaty, to niewątpliwie mielibyśmy kłopot z dostępem do swoich pieniędzy, a w szczególności z realizacją kart płatniczych i kredytowych, wcześniej uporczywie wciskanych obywatelom (czy to w formie pokusy, czy szantażem), zapewne w trosce o poprawę jakości ich życia.

Wprawdzie, w przededniu oświecenia Jean Jacques Rousseau sugerował, że rozwój nauki i techniki nie przyczyni się do poprawy obyczajów, a swymi wywodami przekonał nawet jurorów Królewskiej Akademii Nauk, lecz niewiele z tego wynikło, a poza tym było to dawno temu... i w ogóle.

O sprzecznych oczekiwaniach wobec nauki – hipotetyczność akademickiej wiedzy a potrzeba pewności i stosowalności

Autorzy artykułu „O psychobiznesie, tolerancji i odpowiedzialności...” zdają się wierzyć, że wszystko, co dobre (w sensie sposobów działania i nabywania nowych umiejętności, także praktycznych oraz wprowadzania zmian), mieści się w polu zainteresowań takiej czy innej nauki lub przynajmniej wywodzi z jej ustaleń, ma jej certyfikat lub kontrasygnatę. Jako że nie podzielam tego przekonania, skupię się przez chwilę na niespecyficznych ograniczeniach nauki jako instytucji. Pod jej adresem laicy chętnie kierują bowiem wiele pobożnych, acz zwykle nierealistycznych życzeń, w dodatku wzajemnie sprzecznych.

Oczekiwaniem stosunkowo realistycznym jest, by nauka dostarczała rzetelnej wiedzy (choć niekoniecznej całkiem pewnej i niekwestionowanej). Prawd niekwestionowanych i absolutnych (objawionych) – ku naszemu pocieszeniu – chętnie dostarczają wszak religie, wychodząc naprzeciw ludzkim potrzebom pewności, nieśmiertelności i wielu innym. Jeśli nauka uprawiana jest rzetelnie, to dostarcza (niestety, chciałoby się powiedzieć) głównie hipotez, częściowo potwierdzonych lub raczej – tu zgadzając się z Karlem Popperem – hipotez, których (na razie) nie udało się jednoznacznie sfalsyfikować. Ale czy hipoteza – nawet opierająca się jednoznacznej falsyfikacji – jest wiedzą w potocznym rozumieniu, dającą pożądane poczucie pewności? Raczej nie – jest tylko uzasadnionym przypuszczeniem, wokół którego gromadzą się niezwłocznie różnorakie interpretacje – zwane modelami, koncepcjami, a nawet teoriami – coraz bardziej odległe

od faktów, powiązane z nimi długim łańcuchem presupozycji, uogólnień (rozumowania indukcyjnego) oraz wnioskowania dedukcyjnego. Na tym jednak nie koniec, gdyż każda hipoteza inspiruje powstawanie alternatywnych hipotez wraz z ich spekulatywnymi przybudówkami, które to alternatywne interpretacje również okazują się mieć zakotwiczenie w co poniektórych, także metodycznie produkowanych faktach.

W tym kontekście, o ile pozostaje się w dyskursie z empirią, z tzw. faktami, wyjątkowo trudno o poczucie pewności. A przecież, chcąc jakoś reagować, podejmować jakieś działania i upierać się przy ich realizacji, nie można ciągle we wszystko powątpiewać lub jak mówią fenomenolodzy „brać w nawias” to, co nam się wydaje.

Reasumując, zwłaszcza nauki społeczne, z natury swojej nie dostarczają zwykle pewności (a już szczególnie w kwestiach egzystencjalnie najistotniejszych), a jeśli dostarczają wiedzy, to raczej negatywnej (jak nie jest, w jaki sposób danego efektu uzyskać nie można), przyuczają też do tolerowania niepewności (sprzeczności, obszarów nieoznaczoności), pomagają w kwantyfikowaniu tego, co daje się pomyśleć w kategoriach stopnia prawdopodobieństwa, a nie tylko w kategoriach zero-jedynkowych. Skłaniają do dopytywania się o źródła informacji i szacowaniu stopnia ich wiarygodności, poszukują intersubiektywnych miar i metod pomocnych w rozstrzygnięciu co poniektórych, dobrze sformułowanych (choć rzadko istotnych praktycznie) pytań. Prowadzi to do większej świadomości założeń oraz ograniczeń stosowanych metod przy dochodzeniu do konkluzyjnych i w jakimś stopniu uzasadnionych rozstrzygnięć. Parafrazując nieco I. P. Pawłowa, rzecz można, że dla naukowca wszystko się zawiera w metodzie (rozstrzygnięcia hipotez). Dla praktyka zaś niemal wszystko rozstrzyga się w skuteczności wprowadzania pożądanych zmian. Natomiast świadomość przebiegu własnych oddziaływań, tego, jak to się dzieje, dlaczego dzieje się tak, jak się dzieje, jakie mechanizmy i procesy są za to odpowiedzialne – jest w tym kontekście czymś wtórnym, nieistotnym, często wręcz kontrproduktywnym.

Badania podstawowe w nauce, które oczywiście powinny być prowadzone, szybciej i łatwiej przekładają się na produkty techniki i nowe technologie – niż jakość życia poszczególnych ludzi – między innymi dlatego, że te pierwsze są łatwiej „sprzedawalne”. Badania podstawowe w naukach społecznych w jakimś stopniu przekładają się na świadomość wąskiej grupy ludzi posiadających wykształcenie w danej dziedzinie, lecz niekoniecznie na tzw. świadomość społeczną, a jeszcze mniej na reguły życia społecznego, zmiany mentalności, obyczajowość lub praktyczne oddziaływania psychologiczne. Zawężając obszar rozważań do psychologii, zauważmy, że hipote-

tyczna wiedza akademicka, która zasadniczo tworzona jest dla niej samej, dotyczy kwestii niezwykle szczegółowych, jej celem zazwyczaj nie jest rozwiązywanie problemów globalnych lub społecznych czy też poszukiwanie heurystyk radzenia sobie ze złożonymi problemami ludzi funkcjonujących w konkretnych, zróżnicowanych kontekstach. Tego typu problemy, jeśli już są podejmowane, to właśnie na obrzeżach psychologii akademickiej i z naruszeniem lub wykraczaniem poza twardą metodologię, do której uparczywie aspiruje psychologia akademicka.

Niewspółmierność celów i ograniczona przekładalność różnych form wiedzy psychologicznej

Przypomnijmy tu rzecz oczywistą, że wiedza zawarta w czasopismach psychologicznych, jak również w podręcznikach ma postać wiedzy deklaratywnej. Co więcej, w swej zasadniczej części nie dotyczy ona kwestii typu: jak sobie z czymś poradzić, jak oddziaływać na dolegliwe okoliczności, jak im przeciwdziałać, tj. skutecznie zapobiegać, na przykład przez programy profilaktyczne, realizowane w złożonych kontekstach społeczno-środowiskowych. Zaletą wiedzy deklaratywnej niewątpliwie jest łatwość jej przekazywania (w mowie i piśmie) i łatwy dostęp w kontekście intelektualnej dyskusji, debaty lub „rozmowy o”, czyli generalnie w płaszczyźnie (meta)pojęciowej.

Przekładanie wiedzy deklaratywnej na formy wiedzy proceduralnej, czy to w sensie praktycznych umiejętności (np. podejmowania trafnych sytuacyjnie decyzji), czy nawykowych sposobów reagowania, przeżywania i interpretowania sytuacji, a tym bardziej w sensie uwzględniania wpływu własnej osoby i swych utajonych postaw na kształt rozgrywanej się sytuacji, w której uczestniczymy i przebieg procesu, etc. – wprawdzie teoretycznie daje się pomyśleć, lecz praktycznie jest nieosiągalne. Wymagałoby bowiem nielimitowanego czasu (co oznacza, iż życia mogłoby nie starczyć) i wiąże się z tak ogromnymi kosztami (w sensie wielości przekształceń lub operacji umysłowych dokonywanych na wyjściowych elementach wiedzy) i w ogóle, w sensie zaangażowanych zasobów poznawczych (uwagi, pamięci roboczej i trwałej, metapoznawczego monitoringu i kontroli poznawczej i emocjonalno-motywacyjnej), że podważa to zasadność lub wręcz możliwość takiej strategii postępowania. Przypominałoby to bowiem pokonywanie przestrzeni topograficznie zróżnicowanej przy równoczesnym upieraniu się, że należy to robić wyłącznie pociągami. Na dodatek w sytuacji, gdy wiąże się to z dobudowywaniem torów kolejowych, które na razie istnieją tylko tu i ówdzie i wymagają połączenia nowymi, dodatkowymi odcinkami, których długość znacznie przekracza 50% całej trasy.

Zdarza się, że psychologom akademickim udaje się wnieść pozytywny i poniekąd praktyczny wkład w rozumienie złożonych, a zarazem istotnych społecznie problemów. Przykładem tego może być wkład Philipa Zimbardo w szukanie odpowiedzi na pytanie dlaczego porządni, zwyczajni ludzie zachowują się czasem w sposób nie-ludzki. Mimo wielkiego szacunku dla konstruktywnych i bardzo znaczących osiągnięć rzeczonego autora, który jest między innymi psychologiem akademickim, jego dokonania nie mogą być argumentem ani za wyższością metody naukowej nad innymi sposobami osiągania wiedzy praktycznej, ani za łatwością jej stosowania. Patrząc z boku na słynny eksperyment stanfordzki, ktoś mógłby powiedzieć, że autorowi udało się po prostu dokonać skutecznej prowokacji, skrzętnie ją udokumentować i nagłośnić przez systematyczne przypominanie eksperymentu, dzięki wieloletniemu uporczywemu zajmowaniu się tą – bardzo istotną zresztą – problematyką, między innymi przez występowanie w roli eksperta w kontekście aktów przemocy, przez ustosunkowanie się do aktualnych i medialnie nagłaśnianych, drastycznych wydarzeń (np. traktowanie jeńców w Iraku przez amerykańskich żołnierzy). Zauważmy na marginesie, że to, co zrobił Zimbardo, niewiele miało wspólnego z eksperymentem laboratoryjnym, że uzyskane efekty nie były konsekwencją zastosowania wyrafinowanej metodologii, że badanie nie zostało zreplikowane (już raczej samo było replikacją), a ponadto sam badacz wcielił się w uczestnika badanego zjawiska, w dyrektora więzienia, co bynajmniej nie sprzyjało zachowaniu dystansu ani obiektywizmowi. I jak sam przyznaje, cała sytuacja i pełniona rola zaczęły w pewnym momencie wymykać się spod kontroli. Na szczęście rezolutna (naonczas narzeczona, obecnie jego żona) Christina Maslach w decydującej fazie eksperymentu przywołała go do porządku, wołając: „Filip, co ty wyprawiasz?” (Zimbardo, 2008a). Zauważmy też, że gdyby eksperyment taki został przeprowadzony obecnie, okazałoby się, że narusza współczesne zasady etyczne. W konsekwencji jego wyniki trudno byłoby opublikować w jakimkolwiek znaczącym czasopiśmie naukowym.

Dotychczasowe wywody zmierzają ku konkluzji, że psychologia akademicka, wówczas gdy jest naukowa, nie dostarcza wiedzy praktycznej (proceduralnej), a jeśli już dostarcza wiedzy odnoszącej się do problemów praktycznych (ich przewyciężania nie zaś diagnozy), to dzieje się tak incydentalnie i jest zasługą raczej specyfiki osób ją uprawiających (afiliowanych w instytucjach badawczych, akademickich) niż wyłącznym skutkiem stosowania specyficznej naukowej metody dochodzenia do takiej wiedzy. Dodajmy, że nauka nie jest jedynym źródłem sensownej, społecznie użytecznej wiedzy proceduralnej².

Nauka instytucjonalna, we współczesnym rozumieniu, to kwestia ostatnich dwóch wieków. W przypadku psychologii znacznie mniej. Powstaje zatem pytanie, jak ludzie radzili sobie z życiem i innymi ludźmi wcześniej, przed powstaniem psychologii naukowej i jakim cudem udało się im przetrwać.

Nauka dla nauki czy nauka w służbie potrzeb i wartości pozapoznawczych?

Společne oczekiwania i wyobrażenia na temat roli, znaczenia i wartości nauki – jak wspomniano wcześniej – bywają sprzeczne i często nierealistyczne lub wręcz nieadekwatne. Centralne pytanie, wokół którego grupują się różne wyobrażenia i oczekiwania, brzmi: czy naukę powinno się uprawiać dla niej samej, w imię bezinteresownej ciekawości poznawczej (najlepiej wierząc, że prawda jest jedna i bezinteresowna, tj. raczej uniwersalna niż partykularna, niezależna od przyjętej perspektywy, celów, potrzeb i wartości jej poszukiwaczy), czy też powinna ona służyć wartościom wobec niej zewnętrznym, a w konsekwencji wychodzić naprzeciw potrzebom społecznym oraz rozwiązywać istotne praktyczne problemy generowane przez współczesność? Jest to niełatwy dylemat. W swej najgłębszej warstwie niczym nie różni się od pytania stawianego w kontekście sztuki. Czy należy hołdować hasłu „Sztuka dla sztuki”, czy przeciwnie, upierać się, że „Sztuka powinna być zaangażowana”, czyli służyć pewnym wartościom pozaestetycznym. Każda wyraźna, niewymijająca odpowiedź pociąga za sobą ważkie konsekwencje, również i metodologiczne.

Przy stanowisku „nauka dla nauki” i dbałości o jej autonomię pojawia się zarzut, że uczeni zamykają się w wieży z kości słoniowej, rozwiązują wymyślane przez siebie łamigłówki, nie podejmują istotnych społecznie problemów, a nawet że zajmują się zrytualizowaną „grą szklanych paciorków” (jak w powieści Hermanna Hesse). Przy stanowisku „nauka powinna być zaangażowana”, rosną oczekiwania i wyobrażenia (podsycane z obydwu stron) na temat roli nauki i jej faktycznego lub potencjalnego wpływu na losy tego świata lub przynajmniej ludzkości. Pozostawmy chwilę przy tej kwestii. Zgodnie z tym sposobem myślenia, nauka jest motorem postępu i decydującym czynnikiem kulturotwórczym.

Gdyby postępek cywilizacyjny porównać do pędzącego pociągu, to można by zapytać gdzie – w ramach tej metafory – mieściłaby się nauka. Czy byłaby motorniczym, lokomotywą (dostarczającą energii), czy raczej zajmowałaby jeden z wagonów opatrzonych szyldem „Nauka” lub może „Czyści uczeni”, zgodnie z terminologią Autorów artykułu „O psychobiznesie... i strategiach czystych uczonych”? Moim zdaniem byłyby to tylko jeden z wago-

nów, i to bynajmniej nie pierwszy ani nie drugi. Te byłyby zarezerwowane dla decydentów, tj. przedstawicieli władzy, oraz dla dysponentów zasobów (finansowych i innych). Nauka, wraz z czystymi uczonymi mieściłaby się prawdopodobnie w wagonie czwartym, zaś wagon trzeci, mieszczący środki masowego przekazu, cechowałby się dużą rotacją przepychających się pasażerów oraz instytucji aspirujących do rządu dusz. Zgodnie z powyższą metaforą, rola nauki jawi się jako bardzo ograniczona – wszak pasażerowie mogą wprawdzie komentować wyłaniające się krajobrazy, mogą też stawiać hipotezy, dlaczego zmieniło się to, co się zmieniło (i je rozstrzygać), oraz ewentualnie podejmować próby zmierzające do poprawy komfortu podróżowania. Sprawą wątpliwą natomiast pozostaje możliwy ich wpływ na trasę pociągu i przebieg podróży.

G. W. Hegel zauważył kiedyś, że „Sowa Minervy wylata o zmierzchu”, mając na względzie, że mądrość filozofii ujawnia się *post factum*, że jest spóźniona wobec bieżących wydarzeń (dziejów świata). To samo można powiedzieć o mądrości nauk społecznych i jej wpływie na losy ludzkości. Jeśli zadamy sobie pytanie o usytuowanie nauki jako instytucji w systemowo rozumianej rzeczywistości, zauważymy bez trudu, że nauka nie dysponuje własnym źródłem zasilania i stąd mówienie o „motorze postępu” jest metaforą chybioną. O funduszach na naukę oraz ich przeznaczeniu (a zatem poniekąd o celach nauki „nieczystej”) decydują politycy. Politycy z kolei próbują spełniać oczekiwania wyborców i niechętnie podejmują niepopularne decyzje. Na konsensus decydentów (polityków) i opinii publicznej można liczyć w przypadku powodzi i innych kataklizmów, gdy już wystąpią i trudno ich nie zauważyć, niezależnie od ostrości wzroku i rodzaju wykształcenia. A zatem, upraszczając nieco, w demokratycznym społeczeństwie o roli i celach nauki decydują raczej wyborcy niż prorocy lub tzw. eksperci. W konsekwencji stosowne badania typu *non profit* podejmowane są na szerszą skalę, gdy już wszyscy widzą, że jest problem oraz wiele ofiar.

Wielość psychologii. A jeśli jedna, to czyja?

Zawężając problem, zapytajmy inaczej – czy psychologia jest jedna, czy jest ich wiele? Poszukując odpowiedzi, nie musimy wszelako sugerować się językiem potocznym i ulubionym pytaniem laików: „Co na to psychologia?”. Wielu psychologów, zwłaszcza w świetle kamer, na wypródki ustosunkowuje się do takiego monistycznego pytania, zadawanego w przekonaniu i dobrej wierze, iż w stosunku do psychologii liczba pojedyncza jest równie uzasadniona jak w przypadku arytmetyki oraz że sama nazwa rzeczywiście odnosi się do jednego i tego samego desygnatu.

Czyniąc ukłon w stronę nominalistycznych stanowisk, które skutecznie przeciwdziałają hipostazowaniu języka nauki, tj. przypisywaniu większej realności desygnatom pojęć niż na to zasługują (por. Kotarbiński, 1986), można nie bez racji optować za stanowiskiem, że psychologii jest tyle, ilu psychologów, a tych – jak wiemy – jest mnóstwo i coraz więcej. Ale na tym nie koniec, można by twierdzić również, że laicy (nieposiadający żadnych stosownych dyplomów i certyfikatów) również dysponują pewnymi przekonaniami na temat natury ludzkiej, motywów i sposobów funkcjonowania innych ludzi (i samego siebie), różnic indywidualnych i typologii charakterów, dysponują również praktycznymi umiejętnościami. Możemy myśleć o tym w kategoriach tzw. ukrytych koncepcji osobowości lub różnych wersji potocznej psychologii. Dostrzegając powody i argumenty za pluralistycznym rozumieniem szyldu „psychologia”, dla pewnych celów możemy oczywiście dokonywać daleko idącej redukcji tej różnorodności, lecz nawet wówczas należałoby pamiętać o rozróżnianiu co najmniej trzech typów (uprawiania) psychologii: akademickiej, stosowanej (praktyczno-profesjonalnej) oraz potocznej.

Konkludując – jeżeli laik zadaje pytanie w stylu „co psychologia na to?”, prawdopodobnie chce się czegoś dowiedzieć i zwykle czyni to w dobrej wierze. Jeśli jednak dyplomowany (a jeszcze bardziej utytułowany) psycholog, dostosowując się do formy pytania, chętnie nań odpowiada, sugerując tym samym, że czyni to w imieniu jedynej psychologii, to wprowadza rozmówcę w błąd. Może to znaczyć, że jest bardzo niedouczony, albo też że dawno temu uznał dla wygody, że „psychologia to ja” lub „psychologia to my”. Kategoria „my” może oznaczać na przykład „my praktycy” (respektujący założenia określonej szkoły lub podejścia i dysponujący odpowiednim doświadczeniem praktycznym w danym zakresie). Może też oznaczać „my psychologowie poznawczo-społeczni”, którzy jako jedyni uprawiamy prawdziwą, bo eksperymentalną psychologię naukową... Pozostali to uzurpatorzy, hochsztaplerzy i szamani. Wprawdzie konstytucja i inne przepisy sugerują, że trzeba ich tolerować, lecz najlepiej byłoby ich wytepić (w imię jakiejś szlachetnie brzmiącej wartości).

Szamanami, majsterkowicze czy kaznodzieje?

Ci, którzy nie reprezentują środowiska naukowego, chętnie nazywani są szamanami, w sensie metaforyczno-pejoratywnym. Nie chce się nam pamiętać, że w swoich społecznościach szamani byli najbardziej wykształconymi ludźmi, stosującymi skuteczne metody, tyle że nieodwołujące się do techniki. Gdyby pozostać przy tej retoryce, wówczas wszystkich adeptów i luminarzy upra-

wiających szeroko rozumianą psychologię można by podzielić na szamanów, majsterkowiczów i kaznodziejów. Szanse na harmonijną współpracę między nimi są nikłe, a powodów do współpracy nie widać. Znacznie łatwiej dostrzec motywy rywalizacyjne i elementy konkurencyjności. Podobnie jak w przypadku partii politycznych, można liczyć jedynie na doraźne alianse lub przyjazne, międzypartyjne kontakty personalne.

Powróćmy do *Charakterów* oraz idei popularyzacji nauki. Wprawdzie ów prowokacyjny artykuł Witkowskiego uważam – podobnie jak badani czytelnicy – za interesujący, a koncepcję Sheldraka za kompetentnie przedstawioną, niemniej jednak faktem jest, że autorowi udało się wyprowadzić w pole czy też strzelić bramkę *Charakterom*, przy daleko posuniętej współpracy redakcji zresztą (Aulagnier, 2007). Póki co nie ma bowiem czegoś takiego, jak psychoterapia morfogenetyczna ani się na nią nie zanoszą. Nic też nie wiadomo o rzekomym autorze o obco brzmiącym nazwisku R. Aulagnier. W tym kontekście nasuwa się zasadne pytanie, co faktycznie robi ośmiu profesorów, którzy – jak sugeruje redakcyjna stopka i nie tylko – czuwają nad zawartością merytoryczną i naukowością czasopisma. Mimo puszczanej bramki, profesorzy dalej współfirmują czasopismo i stoją dzielnie na jego straży. Trudno odgadnąć, co chronią i czego pilnują. Może – gdyby użyć pompatycznej retoryki wczesnego kapitalizmu – stoją na straży świętego prawa własności prywatnej. Sprawa nabiera dodatkowego znaczenia i wolnorynkowej pikantarii, jeśli zważyć, że czasopismo to zajmuje pozycję monopolistyczną, jeśli idzie o popularyzację psychologii, oraz że od kilku lat jest dofinansowywane przez najsilniejszą (co najmniej w zakresie psychologii) szkołę prywatną. Mamy więc do czynienia ze swego rodzaju aliansem teorii z praktyką lub może praktyki z praktyką.

Przyznać zresztą trzeba, że teksty publikowane na łamach *Charakterów* cechuje generalnie wysoki poziom merytoryczny. Niemniej jednak, zdarzają się też bardzo głębokie ukłony w stronę publiczności. Przykładem tego jest opublikowany niedawno tekst pt. „Czy psychologia może zmienić świat?” (Mackay, 2008). Jest to połączenie bardzo zgrabnej marketingowo autoprezentacji autora i jego dorobku z rzewnymi bzdurami. Porcja optymizmu, którą autor hojnie dzieli się z czytelnikami, jest porażająca. Píše on na przykład:

„Wydaje mi się, że psychologia może zrobić dla świata znacznie więcej niż wyrugować analfabetyzm. Jestem przekonany, że równie skutecznie jak z analfabetyzmem psychologia może poradzić sobie z: przestępczością, śmieciami na ulicach, zanieczyszczeniem atmosfery, załamaniem w stosunkach międzynarodowych, otyłością naszych dzieci, a być może nawet ostatecznie zakoń-

czyć ucisk i niesprawiedliwość społeczną na świecie” (Mackay, 2008, s. 49; podkr. moje – K.M.). Tego typu pobożne życzenia miałyby pewną pozamerytoryczną wartość w wypracowaniu gimnazjalisty w rodzaju: „Kim chciałbym zostać, gdy dorosnę?”. Wygłaszane z oficjalnej trybuny są irytujące. Choć z drugiej strony, zaczynam się zastanawiać: jeśli ta psychologia jest taka wszechmocna, to może warto byłoby rozpocząć starania o „Indeks na psychologię” w którymś z proponowanych przez redakcję ośrodków?

Uwagi końcowe

I jeszcze kilka uwag szczegółowych. Tekst Tomasza Witkowskiego „Wiedza prosto z pola” przeczytałem z zainteresowaniem, podobnie jak ankietowani czytelnicy. Nie przeszkodziła mi w tym nawet świadomość, że tekst jest prowokacją. Do znanej mi skądinąd koncepcji Ruperta Sheldrake’a mam zresztą ciepły stosunek. Wynika to w decydującym stopniu stąd, iż koncepcję tę uważam za weryfikowalną/falsyfikowalną. Cóż więcej można chcieć od koncepcji, w dodatku o takim stopniu ogólności? Nie będę rozwijać tego wątku, wspomnę tylko, że pierwsza moim zdaniem poprawna próba empirycznej weryfikacji została opisana już w 1981 roku w czasopiśmie *New Scientist*, w którym niejednemu nobliście zdarzyło się publikować swoje teksty. Koncepcje Sheldrake’a (1981a, 1989, 2003) wciąż zresztą inspirują badaczy do nowych badań oraz odkurzania po części zapomnianych faktów i koncepcji (por. Wilber, 1984; Schmidt, Schneider, Utts i Walach, 2004). Dodam jeszcze, że w odróżnieniu od koncepcji rezonansu morfogenetycznego, od dawna i wciąż mam poważne wątpliwości, czy Darwina koncepcja ewolucji (przeciwko której nic nie mam) także jest weryfikowalna. W każdym razie nie udało mi się wymyślić sposobu jej falsyfikacji. Jeśli ktoś miałby pomysł na odpowiedni *experimentus crucis*, stwarzający szansę jej falsyfikacji, byłbym bardzo zainteresowany.

Pojęcie „Das wissende Feld” (*the knowing field*)³, o którym wspomina się w związku z metodą ustawień systemów rodzinnych Berta Hellingera, wprawdzie dość dobrze koresponduje z koncepcją pól morfogenetycznych Sheldrake’a, lecz w tym kontekście traktowane jest wyłącznie jako pojęcie opisowe⁴. W tym kontekście trudno też mówić o modelu czy nawet wyjaśnianiu. Wyjaśnianie jest może jedną z funkcji nauki (a przynajmniej tak się o tym często myśli), lecz z całą pewnością przy oddziaływaniach praktycznych w ogólności, a tym bardziej w kontekście ustawień terapeutycznych metodą B. Hellingera nie chodzi o wyjaśnianie, lecz o wprowadzanie pożądanych zmian, a jeszcze lepiej o stwarzanie okazji do wystąpienia takich zmian.

Psychologia, jak uzasadniałem wcześniej, jest pojęciem zbiorczym, abstrakcją i poniekąd hipostazą. Zwyczajowe mówienie o psychologii w liczbie pojedynczej sugeruje bowiem jedność, spójność i monolityczność tam, gdzie znajdujemy wielość nurtów, stanowisk, paradygmatów, celów i metod (czyli systematycznie stosowanych sposobów) dochodzenia do wiedzy i umiejętności. Lepiej więc nie pytać „Co psychologia może zrobić dla ludzi?”, gdyż abstrakcje niewiele mogą. Lepiej zapytać: „Czy absolwenci psychologii mogą wносить coś sensownego i konstruktywnego do współczesnej globalnej wioski?” Zapewne tak. I często to czynią. Z racji wykształcenia mogą zapewne łatwiej dystansować się do aktualnych mód oraz lokalnych i globalnych dewiacji terażniejszości; zamiast przeciskać się na czoło pochodu, niezależnie od tego, w jakim kierunku on zmierza.

LITERATURA CYTOWANA

- Aulagnier, R. (2007). Wiedza prosto z pola. *Charaktery*, 10, 34–37.
- Feyerabend, P. (1970). Ku pocieszeniu specjalisty. W: P. Feyerabend, *Jak być dobrym empirystą* (s. 200–240). PWN: Warszawa.
- Hellinger, B. (2004). Informacja własna.
- Kotarbiński, T. (1986/1952). Humanistyka bez hipostaz. Próba eliminacji hipostaz ze świata pojęć nauk humanistycznych. W: T. Kotarbiński, *Elementy teorii poznania, logiki formalnej i metodologii nauk* (s. 445–454). PWN: Warszawa.
- Kuhn, T. (1968). *Struktura rewolucji naukowych*. PWN: Warszawa.
- McKay, T. (2008). Czy psychologia może zmienić świat? *Charaktery*, 11, 46–49.
- Mahr, A. (1999). Das wissende Feld: Familienaufstellung als geistig energetisches heilen (The knowing field: Family constellations as mental and energetic healing). W: *Geistiges heilen für eine neue zeit*. Heidelberg: Kösel Verlag.
- Mudyń, K. (1992). *Problem granic poznania z hipersystemowego punktu widzenia*. Kraków: Wydawnictwo UJ.
- Mudyń, K. (2000). Granice konkurencji jako problem (nie)ograniczonego zasobów i ludzkich potrzeb. *Prakseologia*, 140, 37–53.
- Schmidt, S., Schneider, R., Utts, J., Walach, H. (2004). Distant intentionality and the feeling of being stared at: Two meta-analyses. *British Journal of Psychology*, 95 (2), 235–247.
- Sheldrake, R. (1981a). *New Science of Life. The Hypothesis of Formative Causation*. London: Blond & Briggs.
- Sheldrake, R. (1981b). Formative causation: The Hypothesis Supported *New Scientist*, October 1981, 279–280.
- Sheldrake, R. (1989). *The Presence of the Past: Morphic Resonance and the Habits of Nature*. New York: Vintage.
- Sheldrake, R. (1995). *Morphic Resonance and Morfic Fields. An Introduction*. http://www.sheldrake.org/Articles&Papers/papers/morphic/morphic_intro.html

- Sheldrake, R. (2003). *The Sense of Being Stared at: And Other Aspects of the Extended Mind*, New York: Crown Publishers.
- Weber, G. (2005). *Terapia systemowa Berta Hellingera* Gdańsk: GWP.
- Wilber, K. (1984). Sheldrake's Theory of Morphogenesis. *Journal of Humanistic Psychology*, 2, 107–115.
- Witkowski, T., Fortuna, P. (2008). O psychobiznesie, tolerancji i odpowiedzialności czystych uczonych. *Psychologia Społeczna*, ...
- Zimbardo, Ph. (2008 a). *The Lucifer effect and the psychology of evil*. Wystąpienie na XXIX International Congress of Psychology, Berlin.
- Zimbardo, Ph. (2008 b). *Efekt Lucyfera*. Warszawa: Wydawnictwo Naukowe PWN.

PRZYPISY

1. Kilka lat temu, pisząc o ideologii wolnego rynku w kontekście ludzkich potrzeb, posłużyłem się metaforą, która aktualnie jest – być może – bardziej przekonująca. „Otóż, wyobraźmy sobie karawanę, poruszającą się na pustyni i dysponującą coraz mniejszym zasobem wody pitnej i żywności. Po pewnym czasie niektórzy z uczestników nabierają podejrzania, a niektórzy wręcz pewności, że karawana porusza się w fałszywym kierunku, a wizja oazy jest *de facto* fatamorganą. Niektórzy zaczynają o tym głośno mówić, próbując wpłynąć na kierunek wyprawy; inni sugerują, by przynajmniej zwolnić tempo. Sugestie okazują się nieskuteczne. Teoretycznie można by się odłączyć, ale bez zaopatrzenia, które znajduje się na czele kolumny, samotne pozostanie na pustyni to pewna śmierć. Zwalnianie tempa

przez pojedynczych pielgrzymów też nie jest najlepszą strategią przetrwania, gdyż – zgodnie z wewnętrznym regulaminem – ci, którzy poruszają się na przodzie kolumny, dostają podwójną porcję wody i żywności. W rezultacie, karawana dalej porusza się w tym samym kierunku, a nawet coraz bardziej przyspiesza, mimo że niewielu uczestników wierzy jeszcze, że jest to właściwy kierunek” (Mudyń, 2000, s. 48).

2. W niegdysiejszej pracy polemizowałem między innymi z tendencją do stawiania znaków równości między wiedzą naukową a wiedzą profesjonalną, wbrew stereotypowemu uproszczeniu, by wiedzę naukową przeciwstawiać potocznej i przypisywać tej ostatniej wszelkie możliwe mankamenty (Mudyń, 1992). Między wiedzą sygnowana przez naukę a (anty)wiedzą laików pozostaje bowiem szeroki margines wiedzy praktycznej, która często miewa znamiona profesjonalizmu, natomiast ani co do swej genezy, ani ze względu na formę nie zasługuje na miano naukowej.

3. Pojęcie „wiedzącego pola” (Das wissende Feld) zostało zaproponowane przez Albrechta Mahra, ucznia i współpracownika B. Hellingera. Pojęcie pól morfogenetycznych jest chronologicznie wcześniejsze (Sheldrake, 1981a, por. także Sheldrake 1989, 1995), lecz nie musi to znaczyć, że koncepcja Sheldrake'a była źródłem inspiracji.

4. Kilka lat temu miałem okazję upewnić się co do tego w rozmowie z B. Hellingerem (2004). W innych kontekstach miałem też kilkakrotnie okazję empirycznie i osobiście sprawdzić, że w pewnych okolicznościach zjawisko takie występuje. Natomiast pytanie o jego mechanizm, a już tym bardziej spieranie się o domniemaną naturę tego pola, uważam za przejaw nadmiernej i źle ukierunkowanej ciekawości.

The place of science and of psychology in a culture dominated by the ideology of a free market

Krzysztof Mudyń

Institute of Applied Psychology, Jagiellonian University

Abstract

The author speculates about the place of science in the systemically understood reality as well as its role in a culture governed by the rules of a free market economy. Comparing the evolution of culture to a speeding train, the author suggests that science insignificantly influences the direction of cultural evolution – it is neither a steam engine nor a locomotive engineer. Its spokespeople are the passengers sitting in the fourth wagon. Their practical role comes down to analyzing and commenting on current events as well as participating in efforts to minimize the aftermath of catastrophes, if such should occur.

The author continues to explain further that academic psychological knowledge has different aims than does applied or lay psychology. Of necessity, academic psychological knowledge has a declarative character and is transferable only to a limited extent into practical abilities of introducing change, i.e. into procedural knowledge. There are many psychologies, each searching and collecting different types of knowledge (and skills) in accordance with their objectives. Therefore, practical knowledge (also worthy of being deemed professional) should not be expected to be derived from scientific knowledge. Knowledge and skills outside the interests and methods of academic psychology should not be undermined. If practitioners are labeled as shamans, then, accordingly, theoreticians should be called preachers and empirical experimenters – DIY enthusiasts.

Key words: place of science in a free market economy, pure science vs. science in service of social needs and problems, multiplicity of psychology, shamans, preachers and DIY enthusiasts.